

Jerzy Lackowski: Polityka zasłaniania rzeczywistych problemów oświatowych

Prawdziwa oświatowa rewolucja programowa nie jest praktycznie przez Polaków zauważana



Prawdziwa oświatowa rewolucja programowa nie jest praktycznie przez Polaków zauważana

Ekipa minister edukacji Katarzyny Hall nie ustaje w projektowaniu zmian mających całkowicie zmienić nasz system oświatowy. Można wręcz stwierdzić, iż jej szefowa należy do najaktywniejszych członków gabinetu Donalda Tuska. Tymczasem premier w czasie trwającej właśnie ofensywy medialnej (publikacje w "Gazecie Wyborczej" i występy w programach telewizyjnych) bardzo marginalnie traktuje kwestie oświatowe. Zamiast eksponować jednego ze swoich najbardziej pracowitych ministrów, zauważa tylko sprawy związane z nauczycielskimi podwyżkami, czyli kwestie wykraczające poza kompetencje ministra edukacji i będące elementem gry propagandowej

premiera, pozującego na dobrego i troskliwego opiekuna nauczycieli. Warto zresztą dostrzec, iż owe podwyżki mają w znacznej mierze pozorny charakter wobec praktycznego zwiększenia pensum nauczycieli o dwie godziny tygodniowo, a poza tym są one wprowadzane bez prób zmiany biurokratycznego systemu nauczycielskich wynagrodzeń, w którym ich wysokość praktycznie nie zależy od efektów pracy. Innymi słowy są to działania wcale nie służące poprawie jakości pracy naszych szkół, gdyż nie promują najlepszych i dobrych nauczycieli. Można odnieść wrażenie, iż podstawowym celem takich działań jest uzyskanie poparcia bardzo licznej i wpływowej w wielu środowiskach grupy zawodowej.

Tymczasem kwestie poziomu kształcenia w polskich szkołach winny spędzać sen z powiek wszystkim Polakom, myślącym poważnie o przyszłości Rzeczypospolitej. Już teraz sytuacja wygląda źle, a grozi nam jej dramatyczne pogorszenie spowodowane "obejmowaniem" przez nową podstawę programową kolejnych roczników uczniów. Owa podstawa programowa i związana z nią nowa koncepcja kształcenia w szkołach pogimnazjalnych to najgroźniejszy dla naszej przyszłości prezent ekipy minister Hall. Wprowadzona rozporządzeniem podpisanym tuż przed Świątami Bożego Narodzenia (23.12.2008 r.), wchodzi do naszych szkół od 01.09. 2009 r. Na początku objęci nią zostali uczniowie klas pierwszych szkół podstawowych i gimnazjów, 01.09.2012 r. dotrze do szkół średnich, a 01.09.2013 r. ukaże w pełni swoje oblicze. Od tego bowiem momentu powszechne kształcenie ogólne w liceach ogólnokształcących zakończy się na pierwszej klasie tych szkół. Od klasy drugiej nastąpi silne sprofilowanie i nie będzie już powszechnego nauczania takich przedmiotów, jak historia, fizyka, chemia, biologia i geografia. Uczniowie będą musieli kończąc naukę w klasie pierwszej szkoły średniej podjąć decyzję o dalszej ścieżce edukacyjnej. W efekcie będziemy mieli system dziesięcioletniego

kształcenia ogólnego i dwuletnie kształcenie mające przygotować do studiów. Na pierwszy rzut oka wydaje się, iż jest to pomysł ze wszechmiar sensowny, jednak po wejrzeniu w szczegóły pojawia się masa poważnych wątpliwości. Poczynając od najbardziej kluczowych, czyli przygotowania szkół i nauczycieli do jego realizacji oraz wątpliwości, czy siedemnastolatek (a niebawem w związku z wcześniejszym rozpoczęciem nauki będzie to szesnastolatek) będzie przygotowany do podjęcia decyzji o wyborze obszaru przyszłych studiów. Równocześnie można mieć pewność, iż dojdzie do poważnego zubożenia intelektualnego absolwentów polskich szkół średnich.

Autorzy tej koncepcji kształcenia ogólnego odchodzą od dobrej polskiej tradycji kształcenia w liceach ogólnokształcących w kierunku jakoby lepszego przygotowania ich uczniów do studiów. Jednak efektem tych działań będą ludzie gorzej niż teraz przygotowani do studiowania, a poza tym pozbawieni ważnych podstaw wiedzy. Upraszczając, przyszli inżynierowie, lekarze, ekonomiści, informatycy, matematycy czy też fizycy według minister Hall i jej współpracowników nie muszą znać historii ojczystej (ten element kształcenia historycznego zostanie najbardziej zubożony), a przyszli humaniści nie powinni zaprzętać sobie głowy podstawami nauk matematyczno-przyrodniczych. Warto zauważyć, że ograniczenie kształcenia matematyczno-przyrodniczego nastąpi w sytuacji zwiększającego się zapotrzebowania na ludzi posiadających związane z nim kwalifikacje, a poza tym w społeczeństwie wiedzy i wysokich technologii nieodzowne jest podniesienie powszechnego poziomu wykształcenia w tych obszarach. Poza tym wszystko to dzieje się w otoczeniu ciągle spadających wymagań (tutaj szczególnym "osiągnięciem" minister Hall jest umożliwienie promowania w szkołach średnich uczniów z oceną niedostateczną) i rozmaitych działań, które mają ułatwić administracji oświatowej zamazywanie rzeczywistego obrazu polskiej oświaty. I

może właśnie dlatego premier pisząc i opowiadając o "sukcesach" swojego rządu woli nie dotykać działań swojej minister edukacji. Sądzę, że milczenie szefa rządu o kluczowych dla polskiej przyszłości problemach oświatowych nie jest przypadkowe.

Warto także zauważyć, iż dziejąca się w Polsce prawdziwa oświatowa rewolucja programowa nie jest praktycznie przez Polaków zauważana. Wiele osób słysząc fragmentaryczne doniesienia na jej temat ma wrażenie, że to jest jakiś kolejny projekt ekipy nadaktywnej minister edukacji. Tymczasem w tej sprawie wręcz konieczna i nadzwyczaj pilna staje się poważna ogólnonarodowa debata. Niestety również sejmowa opozycja zdaje się nie dostrzegać w pełni rysujących się zagrożeń. Jak sądzą wynika to po części ze skutecznej "zasłonowej" polityki MEN. Jej kolejną odsłonę możemy właśnie obserwować. Oto od kilkunastu dni ludzie zainteresowani oświatą zajęli się kwestią możliwości przekazywania przez samorządy szkół publicznych stowarzyszeniom obywatelskim (z zachowaniem ich publicznego charakteru). W projekcie supernowelizacji ustawy oświatowej minister Hall zawarła także tę kwestię, pośród zresztą wielu innych. Tymczasem akurat ten pomysł - przy rozsądnym wprowadzeniu go w życie - mógłby przynieść bardzo dobre efekty i w pakiecie zmian proponowanych przez MEN jest według mnie najmniej niebezpieczny. Szkoły publiczne prowadzone przez inne niż administracja podmioty działają w różnych miejscach świata (m.in. w Holandii, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Danii, czy też Nowej Zelandii) i należą do placówek osiągających bardzo dobre efekty kształcenia. Również w Polsce mamy ich namiastkę w formie tzw. małych szkół, z których wiele działa w oparciu o koncepcję szkół obywateli. Niestety u nas najczęściej pojawiają się one w sytuacji likwidacyjnego zagrożenia dotychczas działającej placówki, a nie poszukiwania dróg do jej bardziej skutecznej i efektywnej pracy. Dla dobrego zadziałania szkół obywateli niezbędne jest przygotowanie i

wprowadzenie w życie zobiektywizowanych narzędzi oceny pracy dyrektorów oraz nauczycieli, jak też systemu wiążącego jakość nauczycielskiej pracy z wysokością wynagrodzeń. Tymczasem MEN tych kwestii w ogóle nie dotyka, marnując 80 mln zł na chybione koncepcje tzw. nowego nadzoru pedagogicznego, a równocześnie przedstawia projekt przejmowania szkół. Innymi słowy, nie chodzi znowu o działanie mogące pomóc polskim szkołom w osiągnięciu lepszych efektów pracy, tylko o stworzenie wrażenia niezwykłej odwagi i nowatorstwa. Najprawdopodobniej dojdzie wokół tej kwestii do burzliwej i gorącej, ale pozbawionej wątków merytorycznych dyskusji, po której ministerstwo wycofa się z tych pomysłów, przy okazji usłyszymy o dzielnych i odważnych przedstawicielach władzy, którym niczego nie rozumiejący przeciwnicy przeszkadzili w realizacji ich świątłych pomysłów. Poza tym wytworzona pewnie zostanie atmosfera "władzy wsłuchującej się w głosy obywateli", będzie to także kolejne zwrócenie się rządzących w kierunku lewicy. Taka zresztą sytuacja miała już miejsce w Sejmie wiosną 2008 r. w trakcie poprzedniej nowelizacji ustawy oświatowej. Jednak najważniejszym dla rządzących efektem tych wszystkich działań będzie zajęcie osób zainteresowanych oświatą właśnie tą kwestią, co sprawi, że w okresie przedwyborczym nie dojdzie do nagłośnienia niebywałej szkodliwości działań ekipy minister Hall dla jakości kształcenia w polskich szkołach, w tym nowej koncepcji kształcenia ogólnego.

Tych, którzy uważają, iż mamy do czynienia z inną sytuacją niż zarysowana w tym tekście i uważają, iż dowodem na to są wyniki naszych uczniów w badaniach PISA'2009, pragnę zachęcić do spokojnej ich analizy w oderwaniu od propagandowych opisów ministerialnych urzędników. Polscy uczniowie rzeczywiście wypadli lepiej niż trzy lata wcześniej, ale byli to uczniowie kształceni według poprzedniej ("przedhallowej") podstawy programowej i nie jest to postęp

pozwalający na hurraoptymizm, gdyż inne analizy jakości kształcenia niestety przynoszą zdecydowanie bardziej pesymistyczny obraz. Warto zadumać się, dlaczego nie są publikowane powszechnie dostępne raporty o wynikach egzaminów zewnętrznych, szczególnie matury. Pomimo troski MEN o niezbyt wysokie wymagania, jej wyniki są bardzo słabe. Równocześnie na polskich uczelniach (nawet tych najbardziej renomowanych) mamy coraz więcej młodych ludzi kompletnie do studiowania nieprzygotowanych. Stąd też wielkim wyzwaniem dla środowisk naprawdę zatroskanych o naszą przyszłość jest podjęcie już teraz autentycznej debaty o stanie oświatowych spraw i uniemożliwienie obecnie rządzącym zajmowania obywateli tematami zastępczymi.

Jerzy Lackowski

Salon24